Cena zł. 1.30 Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

1 Maja 1926. Nr. 9 (81).



Z Towarzystw Myśliwskich.

Z TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO WOJEWÓDZTWA KRAKOWSKIEGO w Krakowie (ulica Kremerowska 12).

Zawiadamiamy niniejszem, że roczne Walne Zgromadzenie członków Towarzystwa Łow. Wojew. Krak. odbędzie się w czwartek dnia 20 maja r. b. o godz. 6 popołudniu w Krakowie w sali Tow. Strzeleckiego przy ul. Lubicz 16 — z następującym porządkiem dziennym:

1. Zagajenie. — 2. Odczytanie protokółu z ostatniego Walnego Zgrom. — 3. Sprawozdanie z czynności i zamknięcia rachunków za rok 1925. — 4. Sprawozdanie Komisji Kontrolującej o zamknięciu rachunków, oraz wniosek o udzielenie Wydziałowi absolutorjum. — 5. Sprawa nawiązania stosunku ściślej współpracy z Małopolsk. Towarzystwem Łow. we Lwowie. — 6. Uchwalenie wysokości wkładek i wpisowego na rok 1926. — 7. Zmiana wzgl. uzupełnienie niektórych postanowień statutu. — 8. Wybory uzupełniające. — 9. Wnioski i interpelacje.

(UWAGA: — Wyciąg ze statutu — § 22 ost. ustęp: Wnioski członków mogą być tylko o tyle przedmiotem dyskusji i uchwał Walnego Zgromadzenia, o ile zostały zgłoszone przynajmniej na trzy dni w formie pisemnej na ręce Wydziału. Wyjątek stanowią wnioski na zmianę statutu, które muszą być zgłoszone na 8 dni naprzód i nie mogą być podane w formie wniosków nagłych. Wszystkie inne wnioski mogą być natychmiast postawione, jako nagłe, jednakowoż tylko o tyle, o ile zostaną poparte większością 3/4 głosów wszystkich obecnych).

Uprasza się PP. Członków o najliczniejszy udział w Zgromadzeniu.

Kraków, dnia 14 kwietnia 1926 r.

ZA WYDZIAŁ TOWARZ. ŁOWIECKIEGO

Prezes: **Stiller** em. gen. dyw. Sekretarz: **Morawetz.**

KRONIKA.

W sezonie 1925/26 r. T-wo Łow. w Kole miało 37 członków; dzierżawi ogółem przestrzeni 2.992 ha.

W sezonie 1925/26 rok polowano 2.490 ha i zabito na tej przestrzeni: dzików nic, kozłów 14, z czego 8 z podjazdu, kuropatw 14, na nagankach w kulturach leśnych na zbiorowych polowaniach na zające w listopadzie — zajęcy 548, króli 1.136 i cietrzewia 1. Łowczy wraz ze strzelcami na terenach T-wa zabili fuzją i wytępili trutką i potrzaskami lisów 9, psów 214, kotów 106, tchórzy 5, łasic 2, jastrzębi 23, srok 68, wron 172. W tym że sezonie przy udziale strzelców T-wa i gajowych rządowych odebrano na terenach T-wa od kłusowników fuzyj 1, w bliżkości zaś terenów 11. Wnykarzy złapano i ukarano sądownie 7. Policja Państwowa powiatu Kolskiego znajdująca się pod komendą Komendanta powiatowego Pol. Państwowej pana Alfreda Mańkowskiego odebrała w powiecie Kolskim w 1924 r. 45 sztuk broni myśliwskiej, w 1925 r. 52 sztuki, ogółem przez dwa lata 97 sztuk samej broni myśliwskiej, nie licząc karabinów i rewolwerów.

Komendant posterunku w osadzie Babiak, powiatu Kolskiego, Jan Chruszczyński, przy współudziale swoich pomocników z tegoż posterunku odebrał przez 24 r. i 25 r. 23 fuzje od kłusowników, za co został obecnie przedstawiony przezemnie do nagrody do Centr. Związku Pol. Stowarzyszeń Łowieckich w Warszawie.

Jan Łuszczewski
Łowczy T-wa.

SOWIECKA USTAWA ŁOWIECKA.

Ze zrozumiałą ciekawością zapoznałem się z ustawą łowiecką, obowiązującą dziś w Rosji sowieckiej. Przeczytałem ją jednym tchem, doznając dwóch uczuć — zazdrości i radości: zazdrości — gdyż ustawa jest mądra, śmiała, nieubłagana dla kłusowników, troskliwa o zwierzynę, jak żadna inna z obowiązujących dziś ustaw w Europie. Radość zaś uczułem na myśl, jak potężnym argumentem będzie powyższa ustawa podczas dyskusji w Sejmie nad projektem polskiej ustawy łowieckiej.

We wstępie do ustawy łowieckiej spotykamy znamienne zdanie, iż łowieckie prawodawstwo ma przed sobą dwa cele: rozwinąć gospodarstwo łowieckie, oraz ochronić zwierzynę od niszczycielskiego jej tępienia.

Ustawa łowiecka zawiera prawa o polowaniu, o wykonywaniu łowów, o broni i o ochronie zwierzyny.

Art. 1 „Ustawy" głosi: „Dzikie zwierzęta i ptaki, znajdujące się na terytorjum R. S. F. S. R. są własnością Republiki. Prawidłowe ich wykorzystanie stanowi jedną z najważniejszych gałęzi bogactwa państwowego".

Prawo polowania mają w zasadzie wszyscy obywatele. Lecz § 4 „Prawideł o wykonywaniu polowania" (Rozdz. VII) mówi wyraźnie: Prawo polowania przysługuje jedynie tylko osobom, będącym członkami łowieckiej organizacji ogólnokrajowej, za jaką uznany jest Wszechrosyjski Związek Myśliwych".

Co do terminów, oraz sposobów polowania, to mówi nam o tem Rozdz. VII art. 7 — 28.

Prawo sowieckie roztacza ochronę przez cały rok nad bobrem, żubrem, suhakiem, jeleniem plamistym (a na zachód od Jeniseja — nad maralem), nad cielętami łosi, jeleni i sarn w Europejskiej Rosji (bez Kaukazu) — nad sobolem, łosiem, szlachetnym jeleniem, sarną i białą czaplą (§ 9).

Co do sposobów polowania, to zakazane są te, które grożą publicznemu bezpieczeństwu, — a więc samostrzały, trucizna itd., oraz te, które powodują masowe tępienie zwierząt — np. sieci, sidła, zapędzanie zwierzyny na lód, polowanie na ptactwo w czasie gołoledzi, nocne łowy z ogniem, polowanie na zwierzęta stadne podczas ich przepraw przez rzeki itd.

Zabrania się niszczenia jaj i gniazd ptasich oraz wykopywania młodych zwierząt z nor. Zabrania się polowań za pomocą przyrządów duszących lub kaleczących, jako to: pętli, wnyków, kapkanów i żelaz.

Pod względem terminów ochronnych terytorjum Rosji sowieckiej dzieli się na cztery strefy.

Wiosną polować wolno jedynie na głuszce i cietrzewie (na toku), oraz na słonki (na ciągu) przez jeden miesiąc, przyczem dzień otwarcia polowania określony zostaje przez miejscową organizację łowiecką po uzgodnieniu z Gubochotą i zawiadomieniu o tem Centrochoty.

Do drapieżników, podlegających stałemu tępieniu, należy: tygrys, bars, hjena i wilk. Inne zwierzęta i ptaki: a) bezwzględnie szkodliwe: ryś, żbik, szakal, suseł, myszy, orły, jastrząb gołębiarz i krogulec, sępy, puhacze i sowa błotna, oraz b) względnie szkodliwe: (zależnie od miejscowości i stanu rozmnożenia): niedźwiedź, lis, sroka, wrona i in. mogą być tępione, jeśli (ad b) zaliczone zostaną na dany rok przez Gubochotę i Gubsojuz do zwierząt szkodliwych.

Nie mogą być zaliczone do szkodników, podlegających tępieniu, ani pożyteczne drapieżniki, jak: małe sokoły (pustułki, kobczyki), sowy (zw. puhacza), kanie, ani też cenne zwierzątka futerkowe, jak soból, wydra, kuna, norka, wiewiórka, gronostaj itp. Natomiast włóczące się psy i koty podlegają tępieniu.

Miejscowe organy, zarządzające polowaniem — Gubochoty, oraz miejscowe oddziały Wszechrosyjskiego Związku Myśliwych, mają prawo ustanawiać myśliwskie rezerwaty, zakazując na pewien określony czas polowania na wszystkie lub też na niektóre tylko rodzaje zwierzyny, rozszerzać czas ochrony, zakazywać polowania na pewien gatunek zwierzyny, lub też pewnemi sposobami, oraz zabraniać przewożenia i sprzedawania produktów łowiectwa.

Nie wolno handlować zwierzyną, ani świeżo zdjętemi jej skórami po upływie 10 dni od rozpoczęcia terminu ochronnego na dany gatunek.

Centralny Zarząd Spraw Łowieckich przedstawia wnioski Lud. Komisarjatowi Rolnictwa i Sowietowi Ludowych Komisarzy o ustanowieniu państwowych myśliwskich rezerwatów, na których niewolno nigdy nikomu na nic polować. Kto zapoluje w rezerwacie, karany zostaje, jak za ubicie żubra lub bobra.

Przekroczenie ustawy łowieckiej karane jest rokiem więzienia lub przymusowych robót, konfiskatą broni, z zamianą utraty swobody na grzywnę w sumie 500 rubli złotem.

Bez komentarzy. Ustawę powyższą czytałem z zazdrością i z radością. *Juljan Ejsmond.*

MIĘDZY STEPEM A DŻUNGLĄ.

(Korespondencja własna „Przeglądu Myśliwskiego".

U stóp gór Ybyturuzu, marzec 1926 r.

Prawie cały luty przebywałem na stepach departamentu Guaira, leżących w samem sercu wschodniego Paragwaju. Dłuższy okres czasu zajmowałem małe drewniane „rańszo" (chatka), opuszczone już przed wielu laty z przyczyn mi nieznanych. Była to rudera, kryta stepową trawą kapii-pyta, co zdaleka czyniło ją nieco podobną do naszych wiejskich chat, poszytych słomą. Z trzech stron rozciągał się niezmierzony step, z czwartej zaś, wspaniałe, aczkolwiek niezbyt wysokie, szczelnie zarosłe dziewiczym borem, góry Ybyturuzu. Rańszo, wprawdzie już rozwalające się nieco, przedstawiało jednak dostateczną ochronę przed deszczem, co zaś do zimna, to w Paragwaju przez cały rok nie jest ono niebezpieczne. Nie zważając na to, że pierwej ode mnie zajęło tę chatkę kilka rodzin wielkich os i liczny naród termitów, uznałem się za jedynego właściciela mieszkania. Postępując nadal według srogich praw człowieka, osy wykurzyłem dymem, a mrówkom zburzyłem kopiec, zalepiając podziemne chodniki gliną, aby nigdy nie potrafiły swego pałacu odbudować. Już po dwu dniach „bicze"[1]) wyniosły się z mojego najbliższego sąsiedztwa gdzieś dalej.

Nudziło mi się samemu, więc aby mieć jakieś towarzystwo, złapałem młodego kiri-kiri, ptaka, podobnego nieco do jastrzębia którego wkrótce tak oswoiłem, że pozostając na swobodzie, stale przybiegał do mnie i upominał się o jedzenie. Gdy wracałem po kilkudniowej nieobecności, co zdarzało się często, kiri-kiri najwidoczniej radował się, gdyż wykrzykiwał miękkim głosem swoje stałe zawołanie, brzmiące podobnie jak jego nazwa — kiri-kiri.

Innym znowu razem postrzeliłem dzięcioła, noszącego tam indyjską nazwę ipe-cu, ślicznego ptaka o żółtym brzuchu i pstrokatym surduciku. Również dzięcioł po kilku dniach oswoił się zupełnie i przyzwyczaił nietylko do mnie, ale i do drapieżnego kiri-kri, przed którym początkowo zdradzał wielki strach. Oba te ptaki wkrótce polubiły się i zdarzało się potem niekiedy, że ipe-cu rzucał się ze zbytków na jastrzębia, który, jakby w zrozumieniu swojej przewagi i siły, prawie wcale na zaczepki słabszego towarzysza, nie reagował.

Oprócz tych dwóch przyjaciół, miałem jeszcze pewien czas, dopóki nie zdechł, ptaka, wielkości małej kury na wysokich nogach, o czarno-białym spodzie i śmiesznym czubku na głowie. Ptaki te, noszące w Paragwaju nazwę teru-teru, zamieszkiwały „mój" step w wielkiej ilości i zwykle późnym wieczorem napełniały go krzykiem i hałasem.

W takiem to ptasiem towarzystwie mieszkałem na stepie, u stóp gór Ybyturuzu, za jedynych sąsiadów mając stada napół zdziczałego bydła rogatego, którego włóczyło się po stepie wielkie mnóstwo.

Polowałem tam na różną zwierzynę i to zarówno stepową, jak i leśną. Nadzwyczaj dogodne położenie chaty, między dżunglą i stepem, pozwalało mi jednego dnia polować na stepowego strusia, innego zaś na „sancho del monte" (dzika), spotykanego tylko w lesie. Jednakże polowanie na grubszego zwierza wymagało pewnych przygotowań i dłuższego czasu, a jeść trzeba było codziennie, dlatego też najczęściej polowałem na pancerniki.

Indjanie Guaranisi[1]) doskonali znawcy całej fauny i flory krajowej, rozróżniają dwa gatunki pancerników. Pierwszy z nich — tatu-podiu, jest nieco większy i różni się od drugiego, zwanego tatu-hu, ciemniejszą barwą pancerza. Zarówno tatu-podiu, jak i tatu-hu, posiadają na grzbiecie pancerz z łusek rogowych, składający się z dwu płyt: grzbietowej i przyogonowej, które łączą się kilku zachodzącemi na siebie listwami, również z rogowych łusek. Urządzenie to jest im nezbędne do zginania całego korpusu i przesuwania się po norach, w których zwykle nocują. Tak, jak i resztę ciała, również i głowę posiadają pokrytą twardym pancerzem, a tylko połączenie jej z tułowiem jest pozbawione tej ochrony i stanow, bezwątpienia, achillesową piętę zwierzęcia.

Oprócz tych dwóch gatunków, pospolitych w całym Paragwaju, spotyka się, bardzo rzadko, trzeci, zwany — tatu-naranja (pancernik-pomarańcza). Jest to niewielkie zwierzątko, wielkości naszego jeża, które posiada pancerz, zdolny do całkowitego zawarcia się. Tatu-naranja w pozycji obronnej wygląda jak niewielka kula pomarańczowego koloru. (Patrz ilustrację).

---

[1]) Bicho (robak—hiszp.) nazwa nadawana w hiszpańskiej Ameryce, zarówno mrówce takirowi, jak jaguarowi.

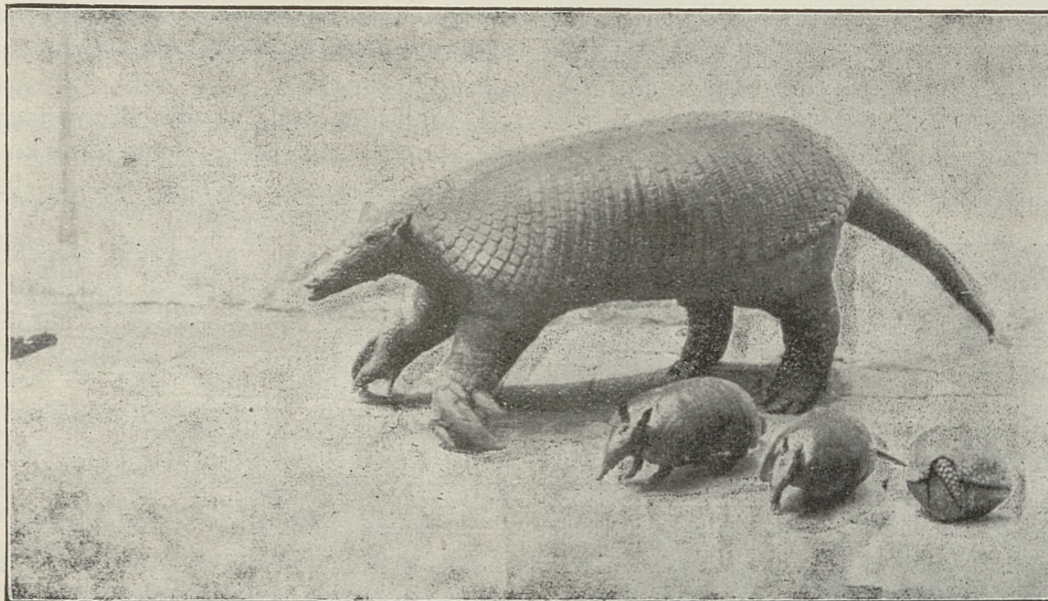
[1]) Znakomita większość mieszkańców Paragwaju należy do tego narodu. Guaranisi używają dotychczas swego języka, w którym wychodzą nawet książki i pisma.

Pancerniki są zwierzętami nocnemi Cały dzień spędzają zwykle w norach, podobnych nieco do lisich, w rozpadlinach gruntu, lub też w spróchniałych pniach drzew. Na łowy wychodzą w nocy, aczkolwiek niekiedy można spotkać je i w dzień, jak ryją ziemię w poszukiwaniu robaków. Te ostatnie wypadki zachodzą zapewne wówczas, gdy który z nich nie naje się dostatecznie w nocy i głód zmusi go do opuszczenia nory podczas jasnego dnia. Zazwyczaj jednak tylko w nocy usłyszeć można ich charakterystyczne chrząkanie, które zapewne spowodowało przydomek mniejszego z dwóch pierwszych gatunków.

Tatu zamieszkują zarówno lasy, jak i stepy, jednak najchętniej przebywają na skraju jednych i drugich.

Mięso pancerników jest bardzo dobre i w smaku przypomina białe mięso kurze. „Pancerniczyna“ ma jednak coś w sobie, że przejada się bardzo szybko. Już po zjedzeniu kilku sztuk, nie mogłem nawet patrzeć na to zwierzę i dopiero po pewnym czasie apetyt na jego mięso odzyskałem.

Ładnego pancerza Paragwajczycy nie używają do niczego i zawsze wyrzucają na śmieci. Swojego czasu były one bardzo modne w Paryżu i w wielkich miastach Ameryki Południowej, jako kosze na kwiaty. Należało do dobrego tonu ofiarowywać paniom piękne róże, czy goździki, właśnie w skórze biednych pancerników. Dzisiaj snać moda ta już zanikła, gdyż w czasie pobytu w Buenos Aires i Asuncion, nic o niej nie słyszałem.



Rodzina pancerników, a obok tatu-naranja w pozycji obronnej.

(Dok. nast.). *M. B. Lepecki.*

BEZ PRACY NIEMA KOŁACZY.

Myśliwy — hodowca musi znać teren i dbać o zwierzostan.

W czasach obecnych myślistwo stało się sportem bardzo kosztownym, wskutek czego należałoby go jaknajwięcej wyzyskać t. j. wziąć z niego wszystko, co dać może.

Myślistwo dobrze zrozumiane hojnie wynagradza i ma tę wyższość nad innemi sportami, że nawet już samo przygotowanie do polowania, tak siebie, jak i terenów myśliwskich i wogóle całego moderunku myśliwskiego, sprawia wielką roskosz w szarym życiu człowieka, zwłaszcza mieszkańca miast, żyjącego w ciągłej walce o byt.

Chcąc jednakże zdobyć wszystkie cuda, jakie hojna natura kuje w swej skarbnicy dla myśliwego, trzeba zasłużyć na szlachetne miano myśliwego. Można bowiem być bardzo dobrym strzelcem, a nie myśliwym.

Jaką zatem drogą iść należy, by stać się myśliwym?

1) Pierwszym, najważniejszym czynnikiem jest organizowanie się myśliwych w grupy i Kółka myśliwskie z dobrze opracowanym statutem i regulaminem, gdyż w rzadkich tylko wypadkach tereny łowieckie dzierżawią jednostki, mogące prowadzić racjonalną gospodarkę łowiecką, ze względu na wielkie koszty z tym związane.

2) Następnie przechodzę do poszczególnych Kółek myśliwskich, z których tak niewiele zna tereny łowieckie, na których poluje. Większość np. jadąc na kuropatwy nie ruszy się ze wsi bez przewodnika, znającego dobrze granice. Nie mam tu na myśli chłopca, potrzebnego do noszenia torby i zabitej zwierzyny. Zachowanie takie myśliwego na terenie, częstokroć wpływa demoralizująco na włościan,



„Juno r. d. Domburg", ks. rodowodowa 3432, tom VIII, właściciel J. Jasiński, Strzelno.

gdyż w większości wypadków są to już, albo z czasem będą kłusownicy i wnykarze, nie mówiąc już zupełnie o powadze, którą przyjezdny myśliwy winien starać się zachować na terenie.

Jest to jednocześnie dowodem, jak mało interesuje się taki pan myślistwem, głównym zaś jego zadaniem jest strzelanie.

Nie uważam również za myśliwego kogoś, kto pomimo umiejętności prowadzenia psa, strzelania, a nawet i orjentowania się w terenie, poza wyjazdem na polowanie nie interesuje się zupełnie terenem myśliwskim.

Wielu zapyta mnie, co robić na terenie w czasie miesięcy ochronnych? Otóż odpowiem tu, że sam nie wiem, w jakiej porze roku teren jest bardziej ciekawy, czy wówczas, gdy stoję z fuzją na stanowisku, dokąd mnie przywiozła furmanka podczas polowania, czy też w miesiącu marcu, kwietniu lub maju?

Czy my, mieszczuchy, mamy pojęcie, co daje wiosna w polu, czy w lesie? Czy jesteśmy w stanie zrozumieć, co to jest powiew ciepłego wiosennego wiatru, nie będąc w różnych porach doby poza murami miasta, pełnego wrzasku i różnych niemiłych zapachów?

Czy jest coś równie cudownego, jak wieczorna modlitwa, układającego się do snu ptactwa, a z nim i całej przyrody?

Niejednokrotnie w takich chwilach uważałem strzał do przeciągającej słonki nietylko za dysonans, za zgrzyt jakiś, psujący ogólną harmonję, ale wprost za barbarzyństwo!

Ranek w lesie, a wschód słońca, przestrzenie pól, okryte białym całunem iskrzącego brylantami śniegu, a okiść w lesie, czyż to nie cuda? To najwspanialsze trofea, jakie myśliwy z sobą zabiera i żyje niemi długie dni!...

Jeden moment niepodobny do drugiego, każdy inny! I na to wszystko przez cały rok wielu z nas patrzy — nie widząc...

Podczas polowań, a zwłaszcza zbiorowych, mało czasu pozostaje myśliwemu do tych obserwacyj, gdyż cała uwaga zwróconą jest na rozkład. Dominują wtedy, że się tak wyrażę, instynkty krwiożercze. Z wycieczek zaś w czasie innym, człowiek przynosi ze sobą tyle radości, iż czuje się jakby szlachetniejszym, jakgdyby wszystkie paskudztwa życia codziennego gdzieś tam zostawił. Wraca czyściejszy, jak gdyby lepszy duchowo...

Częste wyjazdy na tereny łowieckie zaznajamiają myśliwego z przyrodą, z życiem i zwyczajami zwierzyny. Z czasem obserwującemu przychodzą na myśl różne refleksje, że np. warto jest pojechać na teren nietylko po to, aby stanąć na stanowisku z fuzją i z biciem serca czekać, czy zając przyjdzie do mnie, czy też sąsiada. Widzi się poobgryzane z kory drzewa przez zające, odkopywany śnieg przez sarny, szukające pożywienia, a pod śniegiem zamiast zwiędłych choćby liści, znajdujące twardą, zmarzniętą ziemię, albo też stada kuropatw po drogach na śniegu, rozgrzebujące nawóz koński, lub pod stodołami chłopskiemi szukające pożywienia. Należy te ostatnie uważać za przepadłe, gdyż będą napewno wyłapane na sidła, czy też wystrzelane z sanek, a jastrząb też im nie daruje. Kuropatwy bywają również nęcone sypanem ziarnem z pola, aż do wnętrza stodół, tak, że po kilku dniach, biedne te ptaki wchodzą tam całemi stadami, a kmiotek ma już wtedy ułatwione zadanie, t. j. zatrzasnąć wrota i poukręcać łebki.

To samo z zającami. Wykładają im drogę żytem

po parę kłosów, która prowadzi do jakiegoś zasłoniętego miejsca, gdzie siedzi kłusownik z fuzyjką, lub zastawia na tej drodze parę pętlic z drutu lub sznurka. Zając zaś, zbierając pożywienie, nie może ominąć wnyka.

Dzieje się to po większej części na terenach niepilnowanych, gdyż daleko trudniej jest działać kłusownikom tam, gdzie od czasu do czasu zjawia się na terenie myśliwy lub pilnuje służba.

Obliczanie i kontrola kuropatw na śniegu jest też bardzo utrudniona, a obserwując je, często można dojść do niezawodnych wniosków.

Co jest przyczyną zmniejszenia się ilości kuropatw w stadzie? Jeżeli np. w krótkim przeciągu czasu zauważymy w danym stadzie brak jednej sztuki, to według wszelkiego prawdopodobieństwa, wziął ją jastrząb, jeżeli więcej, to mogły być strzelane z podjazdu, lub wzięte na sidła. Tylko w tym ostatnim wypadku reszta pozostaje zdrowa. W wypadku strzelania prawie zawsze jedna lub para jest chorych, postrzelonych, co obserwując dobrze stado, można zauważyć; do tego wskazanem jest używanie dobrej lornetki.

Znając na swoim terenie ilość stad i sztuk w każdym stadzie, można zupełnie dokładnie określić stan kuropatw w przyszłym sezonie. Zależne to jest jednakże od bardzo wielu okoliczności, które mogą najlepsze wyliczenia zawieść.

O ile to wszystko zobaczy myśliwy, a zauważyć, zastanowić się i zrozumieć zechce, tylko nie w dzień polowania, to napewno zakrzątnie się już choćby dla uspokojenia swego własnego sumienia, aby dać wiązkę koniczyny zającom, postawić parę budek dla kuropatw w polu. Wskazane jest bardzo sadzenie krzaków cierni i głogu po rowach i miedzach, gdzie mogłaby skryć się przed jastrzębiem i znaleźć odgarniętą ze śniegu ziemię, posypaną ziarnem.

Myśliwy taki na wiosnę znajdzie czas z pewnością, aby kupić za parę groszy nasienia jarmużu, żarnowca, czy jakiego ziarna, ażeby na przyszłą zimę dać biednej zwierzynie choć trochę pożywienia. To prawie nic nie kosztuje, a bardzo się opłaca. Jest przytem moralne wielkie zadowolenie.

Wówczas dopiero następuje nowa era, t. j. zaczyna się być myśliwym, na miano którego zasłużyć można przyczynieniem się, w miarę możności, choćby i w małym stopniu, do hodowli zwierzyny.

Myśliwy taki już podczas samego polowania inaczej się czuje na stanowisku w polu lub na błocie z psem.

Zdaje sobie bowiem sprawę z różnych przejawów natury i jest w możności zaobserwować rzeczy, które dawniej były dla niego niewidoczne.

Pamiętamy wielkie śniegi i mrozy w zimie roku 1924. Otóż, przez bardzo forsowne karmienie właśnie wtedy ściągnąłem na teren sarny z okolic tak, że z 20 sztuk, pozostałych po ogólnym pogromie, tegoż roku znalazło się na terenie około 80 szt. W datach 12, 13, 14 — było ich około 300.

Na jednym polnym miocie, gdzie linja myśliwych stała na granicy sąsiedniego majątku, naganka trochę zawcześnie ruszyła, tak, że myśliwi, nie zdążyli zająć 4-ch czy 5-ciu stanowisk ostatnich, a zające ruszyły i właśnie tą luką przeszło ich bez strzału około 30 sztuk na tereny sąsiada, gdzie na drugi dzień odbyło się polowanie w kotły w 7 czy 8 dobrych fuzji i zabito w 5-ciu kotłach razem 7 zajęcy.

Okazało się, że zające powróciły w nocy tam, gdzie na pomyka ich nie strzelają, gdzie ich karmią, gdzie tępią psy i koty, gdzie im jest lepiej i bezpieczniej.

W pewnem Kółku, dzierżawiącem duże tereny, dzierżawiono również i niewielki majątek sąsiedni, na którym w 4-ch miotach — 20 fuzji, padało w bardzo dobrych latach 12, 13, 14 do 100 zajęcy.

Od trzech lat właściciel majątku notabene niemyśliwy, polowanie zatrzymał dla siebie i co się okazało:

W r. 1924/5 zabito tam na polowaniu zimowym 2 zające; w 1925/6 9 zajęcy, a obok przez miedzę, zwierzostan stale się poprawia.

Cudów na świecie niema, zawsze musi być jakaś przyczyna. W majątku takim jest jakiś polowy, czy inny jegomość, lubiący spacery, łakomy na kawałki drutu.

Jest to pewnik, że jeden taki zbrodniarz, pozostawiony bez specjalnej kontroli, może zdewastować teren w bardzo krótkim stosunkowo czasie.

Zwierzyna zna granice, zna kopce i miedze i zawsze musi być jakaś przyczyna, jeżeli na jednej dajmy na to wiosce, jest mniej, niż na drugiej.

Oto przykłady, wzięte z życia i stanowiące dowody, że tereny myśliwskie wymagają bardzo starannego pilnowania, częstego odwiedzania, wtajemniczania się w zwyczaje i życie zwierzyny.

Czesław Lisowski.

POLOWANIE NA GŁUSZCA.

(Dokończenie).

Nie mogę się też oprzeć wspomnieniom jednej przepięknej nocy, spędzonej na tokowisku.

Jak zwykle, wyruszyliśmy z domu po północy i dotarliśmy do serca lasu, gdzie czekało już na nas przy ognisku dwóch ludzi w olbrzymich futrzanych czapach. Ludzie ci co chwila dorzucali do ognia suchych, żywicznych gałęzi: płomień buchał w górę, sypiąc deszczem iskier i pogrążając las wokoło w jeszcze głębsze i groźniejsze ciemności. Zimno było, przymrozek wziął tęgi i oszronił gałęzie brzóz i sosen. To też z rozkoszą usiadłam przy ognisku w tem bajkowem otoczeniu i słuchałam z zapartym oddechem historji, opowiadanych nam przez tych leśnych ludzi, legend o kłusownikach, którzy za przestępstwo tułają się do dziś dnia w puszczy, bez wypoczynku i chwili wytchnienia. I dziś nawet zdarza się ich spotkać w lesie, dodał Moroz, patrząc na mego męża z jakimś dziwnym uśmiechem. Opowiadali wolno, przerywając często zaciąganiem fajek i puszczaniem kłębów błękitnego dymu. Czasem, gdy w opowiadaniu trafiało się imię „złego“, oglądali się trwożnie, czy żadna podejrzana postać nie wychyla się z za pnia starej sosny, i klnąc siarczyście, spluwali poza siebie, jakby chcąc go tem odstraszyć.

Powoli ogień malał, przygasł, gałęzie żarzyły się już tylko czerwono, zanim i one zamieniły się w popiół. Cisza zalegała zupełna. W tej olbrzymiej ciszy czuło się potężne tętno życia, jakby lekko tylko wstrzymane nocnem ukojeniem. Czasem odezwał się tylko przeraźliwy głos puszczyka, lub ptak zbudzony załopotał w gałęziach, a potem cisza zalegała jeszcze głębsza. Nagle rozdarło powietrze, jak pierwszy zwiastun dnia, donośne wołanie żórawi. Wołanie to, rzucone w nocy, wstrząsało mną do głębi. Powoli nieprzeniknione ciemności zdały się rozsuwać, jakby pod dotknięciem czarodziejskich palców. Coś, jakby nieuchwytna białość przemknęła przez mroki. Jednocześnie po przez gęstwinę puszczy przeszło ożywcze tchnienie, powiew, pełen woni niewidzialnych kwiatów. Odezwało się kilka pierwszych głosów puszczy. Nieśmiałe beknięcie szczudłaka, przezwanego baranem w gwarze ludowej, dziwny głęboki głos słomki, długodziobej pani, gdzieś zerwał się kaczor, napastliwie krążąc wokoło kaczki, szybującej w stronę stawów, a tuż koło nas gruchotała zakochana para grzywaczy.



GŁUSZEC.

Teraz zamieniliśmy się w słuch. W gwarze budzącego się ptactwa, należało rozróżnić pierwsze zaspane kłapnięcie zbudzonego głuszca.

Moroz lekko dotknął mego ramienia i milcząc, wskazał na swego towarzysza, brodatego Pawła. Puściliśmy się w drogę, narazie niezbyt uważnie — mech tłumił odgłos kroków. Nie przestawaliśmy nasłuchiwać — a z jakiem natężeniem — czy czasem nie odezwie się dziwne staccato — najcudniejsza pieśń, o której marzą myśliwi.

I usłyszałam ją w oddali — lekką, niepewną, coś jakby brząkanie struną przed pieśnią. Chwila przerwy, i znów parę kłapnięć — po których na-

stępuje długa chwila zupełnej ciszy. Zdawałoby się, że ptak odczuwa utajone niebezpieczeństwo i ma się na baczności. Znowu gra. Korzystamy z tego, by przybliżyć się w kilku szybkich ruchach, i znowu kamieniejemy w bezruchu — ptak nagle urwał. Najwidoczniej chce się przekonać o niewidzialnym nieprzyjacielu i czyni to z zadziwiającym sprytem. Lecz teraz gra na dobre. Wpadł w upojenie. A tymczasem, korzystając z ekstazy miłosnej, śmierć zbliża się powoli, ostrożnie i bezszelestnie, po przez gąszcz leśną, po przez moczary...

Stanęliśmy wreszcie w miejscu. W bajkowem oświetleniu krzyżujących się srebrnych blasków księżyca i bladego świtu, zarysowuje się na tle czystego nieba ciemna sylwetka głuszca. Głowę ma wzniesioną do góry w pieśni. Od czasu do czasu kołysze się całem ciałem. Stoję, zapatrzona w to cudowne zjawisko — niezdolna oderwać wzroku, niezdolna podnieść strzelby. I tak przechodzą minuty. Leśnik zaczyna się niecierpliwić — za chwilę głuszec uleci, niema już czasu do tracenia. Z nagłą, bolesną determinacją, biorę na cel rozśpiewane, drgające życiem ciało — pada strzał i jednocześnie z ciężkim łoskotem pada martwy śpiewak.

I znowu, tak, jak niegdyś, do wielkiej tryumfującej radości wkrada się melancholja pieśni — przerwanej.

Adela Kieniewiczowa.



Seter irlandzki — czerwony dżentelmen.

W ostatnim artykule o seterach na wstępie podałem rysy charakterysyczne istniejących trzech odmian seterów.

W niniejszem pragnę zapoznać hodowców i miłośników angielskich długowłosych wyżłów z seterami irlandzkiemi.

Ostatnie dwie wystawy w Londynie były tak poważnie obesłane seterami irlandzkiemi, że bezwątpienia przyznać się musi, iż ta odmiana seterów cieszy się większą wziętością aniżeli dwie pozostałe. Ten objaw dał się zauważyć również i na ostatniej Wszechpolskiej wystawie psów w Warszawie jak i w Krakowie. Czem tłómaczyć, że seter irlandzki większą cieszy się sympatją aniżeli pierwszy przedstawiciel rasy seterów, ten pełen gracji, subtelności i dystynkcji, seter angielski?

Pomiędzy seterem anglikiem, a irlandem istnieje duża różnica w charakterze.

Miłośnik seterów, zdecydowawszy się na trzymanie, albo hodowlę angielskich, można z góry powiedzieć, musi być myśliwym i to w dodatku tak subtelnym w pojęciu łowiectwa jak i jego towarzysz pies. Ktokolwiek otrzymał w podarunku, albo nabył setera angielskiego w bardzo krótkim czasie łatwo się przekona, że choć go pielęgnuje i karmi jak najlepiej, jednak męczy swego ulubieńca, nie dając mu tego, co jego natura, jego instykt wymaga. Angielski seter, aczkolwiek piękny jest i okazały i w salonie i na ulicy, jednak jego wyraz twarzy, jego ruchy są tak wymowne, że trzymać go jako psa pokojowego jest stanowczo przysporzeniem męki psu temu. Angielski seter jest również za łagodny, by użyć go można było jako psa domowego. Zupełnie co innego jest seter irlandzki. Olbrzymia liczba przedstawicieli irlandów na wystawach i pozatem jego silne rozpowszechnienie, przypisać należy przedewszystkiem temu, że nadaje się on dobrze jako stróż w domu, dobrze jako miły towarzysz na spacerze. W jego zewnętrznym wyglądzie, w jego oczach i w jego ruchach nie widzimy tyle pasji myśliwskiej co u anglika. W Anglji nazywają go czerwonym dżentelmenem, ale nazwy tej nie można zastosować do jego zalet myśliwskich, lecz do jego zalet jako psa spacerowego. Śmiało powiedzieć można, że większa część irlandów pokazywana na wystawach, są to psy, które od kilku pokoleń z myśliwstwem nic wspólnego nie miały.

Seter irlandzki z natury swojej twardy pozwalający ze sobą się obchodzić jak z niemieckim wyżłem, łatwiej udamawia się i zapomina o swoim prainstynkcie myśliwskim.

Pierwsze setery, jakie hodowałem, były irlandy. Było to w roku 1906. Ma się rozumieć, że jako myśliwy posiadałem w hodowli swej tylko takie irlandy, które bezsprzecznie do myśliwskiej rodziny należały. Mój słynny „Jim of Lanshut" i „Banka Edelrot" dały pokolenie, na którym do dnia dzisiejszego hodowla irlandów w Niemczech się opiera. Słynna „la Foya", która w roku 1908 na popisach myśliwskich w Brukseli zdobyła wśród konkurentów pointrów, angielskich seterów i gordonów, palmę pierwszeństwa, była mojej hodowli.



„Diana z nad Gopla", siostra „Ingo z nad Gopła" I nagroda popisy wyżłów dowodnych 1925, w powiecie Strzelińskim, właściciel Ig. Jasiński, Strzelno, opisy szczegółowo patrz referat „Przegl. Myśl i Łow. Polsk." z roku 1925.

Niestety podczas wojny całą moją hodowlę straciłem i niemogąc, gdy nastały normalne czasy, nabyć odpowiedniego zarodowego materjału irlandów, przerzuciłem się do angielskich seterów. Mając więc doświadczenie w hodowli dwóch tych gatunków seterów, zaznaczę, gdzie, według mego zdania, leży największa różnica między irlandem a anglikiem i w konsekwencji dlaczego irland zawsze będzie więcej rozpowszechniony, aniżeli anglik.

Hodowca, otrzymawszy rzut młodych irlandczyków nie wie, który ze szczeniaków będzie się nadawał do celów myśliwskich. Zdarzy się, że z całego obfitego rzutu zaledwie jednostki nadadzą się do wyszkolenia polowego i to z praktyki i doświadczenia stwierdzam, że tylko te jednostki, które w rzucie są najdelikatniejsze i najsubtelniejsze. Zupełnie co innego jest u anglików. Tutaj ma się bezwzględną pewność, że każdy z nich posiada wszystkie zalety, konieczne w polu. Ta olbrzymia różnica, zachodząca między temi dwoma gatunkami seterów, przyczyniła się do tego, że anglik jest tylko dla myśliwego, a irland jest dla wszystkich, ergo więc i więcej popularny.

Budową irland różni się od anglika. Irland jest kwadratowy i wzrost jego dochodzi do 65 cm. Jego całokształt zewnętrzny zdradza siłę i wytrzymałość. Ma on naturę więcej szorstkowłosego psa, aniżeli długosierścistego. Jest wytrzymały na mróz i niema obawy, by zaszkodziła mu kąpiel w stawie lub w rzece, nawet w grudniu.

Nawięcej trosk w wypielęgnowaniu i wyhodowaniu czerwonego dżentelmena, mieli hodowcy z jego płaszczem. Kolor jego zawsze był poważnym atutem w hodowli i u każdej odmiany psów nie odbył on tylu pielgrzymek, co u irlanda. Pan Lambert Hurrelbink, największy hodowca i znawca irlandzkich seterów w Holandji przeżył nie jedną ciężką chwilę, hodując czerwonego don Juana.

Majestatyczny, błyszczący seter irlandzki zawsze niebył tak czerwony, jak dzisiaj. On się inaczej zachowywał, aniżeli ludzie. Popularność zdobywał i szacunek w miarę wzrostu intesywności czerwonego koloru. Przodkowie irlanda, o których dzisiaj nikt wiedzieć nie chce, ani słyszeć, były to psy myśliwskie, nieposiadające płaszcza jedwabnego, tak jak jego dzisiejsze potomstwo. Byli pstrą mieszaniną kolorów, większe i cięższe z szerszymi łbami, aniżeli dzisiejszy przedstawiciel pokazuje. Jakim sposobem hodowcom angielskim udało się pstrą mieszaninę kolorów, a szczególnie dominującą białą, wyrzucić i zastąpić czerwonym kolorem jest do dzisiejszego dnia tajemnicą, i dowodem wielkiej sztuki hodowlanej anglików. Myli się ten, kto sądzi, że anglicy hodują według jakichś teorji. Oni nie robią głębokich dociekań nad problemami hodowli. Większość hodowców angielskich kwestji hodowlanych nie rozstrzyga drukowanem słowem, ale hodują, mając pewien cel na oku, polegając na swoim instykcie hodowców. Po paru latach przychodzą, pokazują rezultat i przyznać im trzeba, że dorównać nikt im nie jest w stanie. Co doprowadziło do rezultatu pozostaje zazwyczaj tajemnicą hodowców i nikt nie łamie sobie głowy ani docieka, jak on do tego rezultatu doszedł; przechodzi nad tem do rzeczywistości i kwita. U nas jest inaczej. Mamy bardzo dużo teoretyzujących hodowców. Bardzo dużo znawców posiadamy tylko w mowie, ale czynów niema. Dotychczas spotkałem się tylko z jednym hodowcą, który mi zaimponował. Cicho, konsekwentnie — mam wrażenie, dąży on do celu.

Proszę mi darować, że odbiegnę na chwilę od tematu i kilka słów zaofiaruję temu cichemu pracownikowi. Jest to p. X. Czetwertyńska, która pokazała nam na ostatniej wystawie w Warszawie owczarki polskie. Choć każdy z miłośników psów u nas wie bardzo dobrze, że posiadamy naszą własną rasę psów, p. X. Czetwertyńska miała odwagę, dotychczas jedyna, przedstawić ogółowi tego owczarza polskiego. Za ten pierwszy i odważny czyn p. X. Czetwertyńskiej składam Jej na tem miejscu w imieniu wszystkich miłośników hodowców z całego serca serdeczne podziękowanie i życzę dużo pomyślności w tej ciężkiej i żmudnej pracy.

Przechodząc do tematu podaję, że nie wiemy jakim sposobem hodowcy angielscy z czerwono-białego irlanda zrobili zupełnie czerwonego. Mówi się o domieszce gordona, ale znawcy twierdzą, że prędzej gordon potrzebował irlanda — aniżeli odwrotnie. Pomoc anglika można napewno wykluczyć. Najmożliwszą i naprawdopodobniejszą jest rzeczą, że czerwony dżentelmen jest produktem bardzo skrupulatnego i długotrwałego doboru. Hodowca anglik zdaje się niszczył każdego szczeniaka, który był innego koloru, aniżeli czerwonego, aż osiągnął cel. Najtrudniej było usunąć kolor biały. On dzisiaj jeszcze występuje bądź na piersiach, bądź na łapach, bądź na czole. Jak wyżej powiedziałem był to skrzętny wybór rodzącej się młodzi. Dzisiaj już kolor irlanda jest tak dokładnie oznaczony, że nawet biały kolor nie przedstawia niebezpieczeństwa żadnego.

Dla hodowcy nie tylko kolor przedstawiał trudność. Przed laty irland odznaczał się ciężkością łba, biegu i wyglądu. Wraz z osiągnięciem jednolitego czerwonego koloru powstaje inny typ irlanda, lżejszy, choć twardy i znowu widzimy, na jakim wysokim poziomie jako hodowcy stoją Anglicy. Równych sobie nie znajdują. Dzisiejszy irland jest najdokładniej zbudowany, jest typem symetryczności kształtów psa.

Laikom zdawałoby się, że skoro anglicy osiągnęli kolor jednolity przez kilkanaście pokoleń i dobrą budowę, kwestja rasy psa jest załatwiona. Tak jednak nie jest. Powoli w hodowli irlandów wyłania się nowe niebezpieczeństwo. Po białej zmorze, która hodowców irlandów długi czas prześladowała, przychodzi inny djabeł i bruździ. Co się dzieje? Otóż ten piękny kolor czerwony coraz czerwieńszy zaczyna się palić i powstaje czarnawy odcień na korzeniu uwłosienia. Nowy kłopot. Champion Holandji „Radbont Rhinderstein" przedstawił się w tej kłopotliwej szacie. Zdaniem mojem jest to niebezpieczeństwo niezbyt wielkie, aczkolwiek hodowcy kwaśne miny robią. Kto kiedykolwiek irlandy hodował, ten zawsze obawiał się żółto-czerwonego odcienia, a nie czerwonego, które było jednocześnie symptomem jaśniejszych oczu i zawsze ze szczeniaków uważano te za najlepsze w kolorze, u których ciemna linja na grzbiecie się zarysowała. Szczeniak z czarną linją na grzbiecie dawał gwarancję, że w późniejszym wieku będzie czerwonym, bo wiadomo, że irlandzkie szczeniaki rodzą się w żółtym płaszczu i z wiekiem dopiero nabierają odpowiedniego koloru. Młody irlandczyk nie jest wcale ideałem piękności, jest to raczej gąsieniczka, która z czasem dopiero w pięknego motyla się przekształca. Kto widział szczeniaka irlanda



Studjum głowy irlanda „Iima of Landshut" własność d-ra St. Kozimana-Rejchera.

musiał być rozczarowanym. Żółto-czerwony płaszcz, podkreślam żółto - czerwony, z ogonkiem młodego baranka nie robi dobrego wrażenia. Dla mnie więc żółte niebezpieczeństwo u irlanda jest większe, aniżeli czarno-czerwone. W Anglji według sprawozdań dużo bardzo jest irlandów żółto-czerwonych i nawet zupełnie żółtych.

Ponieważ niektóre okazy z żółto - czerwonych irlandów otrzymały wysokie odznaczenie, więc się rozmnożyły, tem bardziej, że najlepszy znawca tej rasy, pułkownik Miller w Anglji, sam je hoduje i faworyzuje. Znajdują się żółte irlandy wszędzie, gdzie Miller sędziuje, a że go naśladują, nie dziwimy się, wobec stanowiska, jakie pułkownik Miller w hodowli

irlandów zajmuje. Ze słowem Millera liczą się w Anglji i nie ma nikt odwagi przeciwko Jego zdaniu wystąpić. Pomimo to jednak podnoszą się głosy coraz częściej przeciwko żółtemu Mandarynowi, a zwłaszcza wśród posiadaczy czerwonych irlandów. Z zaciekawieniem śledzę przebieg walki. Mam nadzieję, że czerwony dżentelmen w swym płaszczu zwycięży, gdyż, mojem zdaniem, głównie jego ubarwienie przyczyniło się do zajęcia przez niego poważnego miejsca wśród seterów i innych psów.

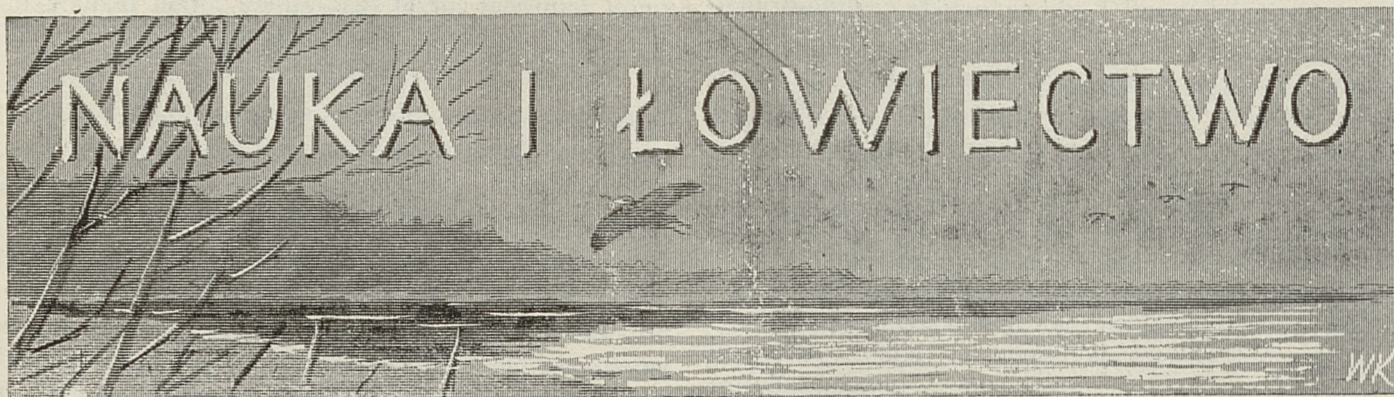
Dr. Stanisław Koźmian Rejcher.

ŁOWY KAUKASKIE.

Długa chwila oczekiwania i na załamie pochyłości wyłania się olbrzymi cień. Dzięki doświadczeniu, zdaję sobie sprawę, że to złudzenie, wywołane światłem księżycowem i napięciem nerwów. Dość duży dzik i tylko. I nie omyliłem się. Posuwając się powoli do wody dzik co kilka kroków zatrzymywał się i węszył. Oho! Sztuka doświadczona, widocznie był w tarapatach. Myśl, że mię zwęszy, że czmychnie szybko, jak błyskawica, nie daje mi spokoju. Strasznem napięciem siły woli, wstrzymuję się od strzału, czekając aż stanie przy wodzie o 10 — 12 kroków odemnie. Nakoniec podszedł, podniósł ryj, spojrzał naokoło i nachylił się do wody. Strzał niepewny ze względu na mrok. Kiedy zamiast muszki— wstęga papieru, naklejona pomiędzy lufami, a zamiast dnia — światło księżyca, to strzał w łeb — pewne pudło. Czekam, naprężenie straszne, lufy tańczą. Czy długo pił?—określić nie mogłbym, może minutę, a może i pięć. Podnosi ryj, wolno zawraca na prawo, pokazuje lewy bok; pora, w mgnieniu oka równowaga pełna, ręka stalowa: pod lewą łopatkę. Strzał! Dzik robi dwa duże susy na lewo w dół i zaczyna chrapać i rzucać się na miejscu; wyskakuję, zimnej krwi nie tracę, podbiegam na trzy kroki i dobijam strzałem w głowę: gotów, tylko tylne nogi drgają. Śpiesznie nabijam fuzję, przeprowadzam bezpiecznik na żakana i zapalam papierosa. Już jestem zupełnie spokojny, nawet wesoły, chce się krzyknąć, zaśpiewać. Dzik waży pudów 8 — 9, nie taki olbrzym, jak się wydawał; krótki, gruby kark, wysokie nogi; typowy górski dzik; dobre kły występują z otwartych warg. Dopiero teraz zaczyna się robota: wyciągnąć do szosy nie mogę; zostawić — zjedzą szakale i wilki. Najbliższe siedlisko ludzkie — to Łagodechy, 8 — 9 kilometrów. Oprócz tego muszę koniecznie wyrzucić wnętrzności, bo zepsuje się niechybnie. Rzucić szkoda, nawet niehonorowo względem nieboszczyka. Biorę się do roboty. Korzystając z olbrzymiej ilości, leżącego różnego drzewa, od całych, wywróconych przez burze drzew, do zwykłych gałęzi, rozpalam duże ognisko i siadam do kolacji; dobry łyk wódki, rozgrzany na patyku kotlet, grzanka z masłem też na patyku, kubek doskonałej wody z jeziorka, z którego pił nieboszczyk i papieros. Po tej uczcie precz myśliwski frencz, sweter, rękawy zakasane i do pracy; zegar pokazuje $9^{3}/_{4}$. Przy pomocy bocznego od kindżału nożyka i kindżału dzik rozpruty, gardło przecięte, a dymiące się gorące wnętrzności wyrzucone i odsunięte na kilka kroków w dół po strumyku. Rozparłszy przednie łopatki ze środka dobrą pałką, rozrąbałem w tem miejscu też ze środka grzbiet, aż do szpiku; no, teraz nie zepsuje się. Rozparłem jeszcze dwoma pałkami boki, żeby dać dostęp powietrzu i przystąpiłem do najcięższej roboty. Dzik waży najmniej 8 pudów, ja ważę 4½ puda, a muszę go powiesić i podciągnąć do góry. Biorę specjalnie na ten wypadek wzięty powróz i umocowawszy jeden koniec na szyję, wpuszczając powróz w miejsce przecięcia gardła, drugi koniec przerzucam przez gałąź na wysokości 3½ — 4 metr. Zaczynam powoli, przewracając dzika, podsuwać go pod gałąź. Udało się, chociaż pot leje się. Na wolnym końcu, przerzuconego przez gałąź powrozu, robię pętlę, jak mogę najwyżej. Kindżałem zrębuję surowe drzewo, 8—10 centymetrów grubości i odcinam cieńszy koniec na 5 — 6 metrów. Wsuwam grubszy koniec tej żerdzi w zrobioną pałkę, a cieńszy wieszam na gałęzi sąsiedniego drzewa. Teraz najcięższa praca: zaczynam znosić bierwionka, większe gałęzie, zgniłe odłamy całych bierwion, często tocząc je przy pomocy koła i wszystko to ustawiam, opierając z dwóch stron o wiszącą żerdź. Lecz to ciężar jeszcze zamały; wybieram krótkie a grube kawałki zgnilaków i układam je na żerdź pomiędzy sterczącemi końcami już opartych gałęzi i bierwionek. Decyduję, że będzie dość; chwytam się za pętlę i zawisam na niej; uf! dzik zwolna ruszył w górę, a ja z całą swoją budową siadam na ziemi. Natychmiast umocowuję powróz przy pętli do sterczących korzeni. Dzik wisi, lecz tylnemi nogami jeszcze dotyka do ziemi. Trochę odpocząłem i korzystając ze stojącej postaci dzika, wytarłem go wewnątrz suchemi liśćmi (ani kropli wody), znów powtarzam swoją robotę, robiąc pętlę z końca powrozu i przymocowuję ją do naciągniętej części po-

wrozu przy gałęzi, tylko teraz posługuję się już gotowym materjałem. Nakoniec dzik wisi; tylne nogi na 1½ metra nad ziemią; nizko, lecz wyżej już nie mogę. Od szakali, nawet, może być, wilków, uratowałem, lecz są jeszcze barsy, rysie i olbrzymie górskie orły. Ale trudno, na to rady niema. Północ. Ruszam do domu. Wymyłem ręce, ubrałem się, zalałem wodą ognisko i podszedłem do swojej lipy, zobaczyć, czy nie zapomniałem czegokolwiek. Byłem mocno zmęczony; zimny wiaterek pociągnął z gór; czułem potrzebę odpoczynku. Niedługo myśląc, zalazłem znów do dziupli, usiadłem na swoim krześle i nie czekając już na nic, postawiłem z lewej strony flintę i zamyśliłem się. Otulony, zakryty od wiatru, rozgrzałem się i zdrzemnąłem.

Gen. A. Kuczewski.



Przegląd naszych ptaków drapieżnych.

6. Circaetus gallicus (G m.).

KRÓTKOSZPON.

SYNONIMY ŁACIŃSKIE. *Falco gallicus, Falco leucopsis, Falco astracanus. Aquila leucamphoma, Aquila brachydactyla, Accipiter hypoleucus, Circaetus orientalis, Circaetus anguium. Circaetus paradoxus.*

SYNONIMY POLSKIE. Orzeł pstry, orzeł krótkoszpon, krótkoszpon gadożer.

OPIS STAREGO PTAKA. Wierzch ciała brunatny, z głową nieco jaśniejszą. Lotki brunatnoczarniawe, z nasadą wewnętrznych chorągiewek białą. Sterówki brunatne, z wierzchu ciemne, od dołu znacznie jaśniejsze, z trzema ciemnemi poprzecznemi pasami. Spód ciała zasadniczo biały, lecz bardzo gęsto upstrzony na szyi i piersiach podłużnemi, zaś na brzuchu poprzecznemi, brunatnemi plamami. Tęczówka żółta lub pomarańczowo-żółta. Woskówka błękitnawa. Dziób czarniawy u nasady jaśniejszy. Nogi popielate z czarnemi pazurami. Prócz powyższego typowego upierzenia trafiają się jeszcze dwie odmiany. Jedna charakteryzuje się bardzo słabym strychowaniem piersi, druga białą głową z brunatnemi strychami, oraz spodem ciała białym, strychowanym tylko na szyi i nielicznemi plamkami na piersi. Płcie nie różnią się ubarwieniem, w wielkości też niema zbyt wyraźnych różnic. Długość skrzydła 51 — 56 cm., długość ogona 28 — 30 cm.

OPIS MŁODEGO PTAKA. Młody ptak w pierwszym pierzu podobny jest do starego, odznacza się tylko tem, że przód szyi i górną część piersi ma nie strychonawe a jednolicie brunatne.

GEOGRAFICZNE ROZMIESZCZENIE. Gnieździ się w północnej Afryce, południowej i umiarkowanej Europie, Azji Mniejszej, Azji środkowej na wschód po Mongolję i Chiny północne.

WYSTĘPOWANIE W POLSCE. Dość rzadki, a właściwie nieliczny ptak, gnieżdżący się odosobnionych parach na całej przestrzeni kraju. Przylatuje w końcu kwietnia, odlatuje w końcu września.

POŻYWIENIE. Główną podstawą jego pożywienia są gady, w szczególności żmije i węże. Jada również żaby, mięczaki, robaki, skorupiaki i owady oraz drobne ssaki. Ptaki chwyta tylko wyjątkowo. Pożyteczny, zasługuje na bezwzględną ochronę.

7. Pernis apivorus apivorus (L i n n.)

PSZCZOŁOJAD.

SYNONIMY ŁACIŃSKIE. *Falco apivorus, Falco tachardus, Aquila variabilis, Falco poliorhynchos, Accipiter lacertarius, Pernis apium, Pernis communis, Pernis vesparum, Pernis platijura.*

SYNONIMY POLSKIE. Sokół pszczołojad, sokół trzmielojad, myszołów trzmielojad. pszczołojad pospolity, pszczołojad trzmielojad, kobuz osożer, kobuz trzmielojad.

OPIS STAREGO PTAKA. Ubarwienie pszczołojadów jest tak zmienne, że poprostu niepodobnem jest opisać te różnorodne postaci upierzenia, które występują u różnych osobników ,przytem niezależnie od wieku i płci. Stosunkowo najmniej ulega wahaniom płaszcz ,który jest zwykle barwy brunatnej lub ciemnobrunatnej. Głowa bywa tejże barwy co i płaszcz, lub popielato-szara, to znów brunatna biało upstrzona, lub odwrotnie, biała z brunatnemi strychami i plamami, Lotki są zwykle ciemno-brunatne z dwoma lub trzema poprzecznemi czarnemi pasami i czarnemi zakończeniami. Ogon z wierzchu zwykle brunatny, przepasany trzema ciemniejszemi poprzecznemi pasami i zakończony takimż pasem; od spodu ogon jest zwykle jaśniejszy. Najbardziej zmiennym jest spód ciała. Niekiedy bywa on całkowicie brunatny gdyż brunatnej barwie ciała towarzyszy zwykle takaż barwa głowy i szyi. Odwrotnie trafiają się okazy o spodzie ciała czysto białym. Najczęściej spód ciała jest biały z różnorodnym mniej lub więcej gęstem strychowaniem lub pręgowanem. Tęczówka jest żółta lub pomarańczowo-żółta. Dziób czarniawy; woskówka ołowiasta. u nasady koło dolnej szczęki żółtawa. Nogi żółte. Różnicy w ubarwieniu płci niema, samce są jednak naogół nieco większe. Długość skrzydła 39 — 42 cm., długość ogona 25 — 28 cm. Charakterystyczną cechą pszczołojada jest to, że przód czoła i kantarek ma on porośnięte drobnemi łuseczkowatemi piórkami, po których można go odróżnić z największą łatwością od wszystkich pozostałych drapieżników.

OPIS MŁODEGO PTAKA. Ubarwienie równie zmienne jak u starych; zwykle jednak pióra głowy i karku, oraz pokrywy skrzydłowe mają płowe zakończenia. To samo dotyczy lotek. Tęczówka brunatno-szara lub żółtawo-szara. Woskówka i nasada dolnej szczęki żółte.

GEOGRAFICZNE ROZMIESZCZENIE. Gnieździ się w Azji mniejszej i Europie. Na zachodzie sięga po 66° półn. szer., na Uralu zaledwie 58°. W stepach kirgiskich na Kaukazie i na Krymie już się nie gnieździ i bywa tylko na przelocie. Toż samo dotyczy południowych i środkowych części półwyspów Appenińskiego i Pirenejskiego.

WYSTĘPOWANIE W POLSCE. Pospolity ptak gniazdowy lecz nie wszędzie występujący jednakowo licznie. Przylatuje w końcu kwietnia, odlatuje w końcu września.

Pożywienie. Główną podstawę jego pożywienia stanowią owady i ich barwy. Pozatem zjada gady, jaja, drobne ssaki i ptaszki. Należy go uważać za ptaka pożytecznego i bezwzględnie ochraniać.

8. **Haliaeetus albicilla** (Linn.).

ŁOMIGNAT BIELIK.

SYNONIMY ŁACIŃSKIE. *Falco albicilla, Falco ossifragus, Falco hinnullarius, Falco albicaudus, Falco pygargus, Haliaeetus nisus, Aquila borealis, Haliaetos orientalis, Haliaetos islandicus, Haliaetos funereus, Haliaectus brooksi.*

SYNONIMY POLSKIE. Orzeł bielik, orzeł łomignat, orzeł białogłowy, orzeł białoogonowy, orzeł białogon, ostrzyż łomignat, birkut bielik.

OPIS STAREGO PTAKA. Brunatny z białym ogonem. Głowa i szyja są znacznie jaśniejsza barwy brunatnawo-płowej. Lotki są prawie czarne. Tęczówka, dziób, woskówki i nogi żółte. Płcie różnią się wielkością, mianowicie samica jest znacznie większa. Długość skrzydła 59—63 cm., długość ogona 29 — 33 cm., długość skrzydła 65 — 72 cm.

OPIS MŁODEGO PTAKA. Upierzenie młodego ptaka w pierwszym pierzu jest znacznie ciemniejsze. Płaszcz jest ciemno-brunatny, prawie czarny; głowa i szyja są tejże barwy. Ogon jest brunatno-czarniawy. Tęczówka ciemno-bruntna, dziób czarny. Ostateczne upierzenie dorosłego ptaka osiąga bielik dopiero w szósym lub siódmym roku życia; przez ten okres czasu przechodzi szereg zmian, stanowiących przejście od wyżej opisanego pierwszego pierza, do postaci dorosłej.

GEOGRAFICZNE ROZMIESZCZENIE. Gnieździ się w Azji mniejszej, środkowej i północnej.. Zamieszkuje również północną, umiarkowaną i południową Europę; na zachodzie jednak gnieździ się tylko po wyspy Brytyjskie i północne Niemcy.

WYSTĘPOWANIE W POLSCE. Dawniej gnieździł się i był pospolity w całej Polsce, szczególniej po prawej stronie Wisły. Obecnie rzadki ptak gniazdowy. występujący stale jedynie a wschodnich kresach. Jesienią i zimą pokazuje się w całym kraju, lecz jest już wogóle, wskutek tępienia rzadki.

POŻYWIENIE. W lecie główną podstawę jego pożywienia stanowią ryby. Zimą żywi się padliną, chwyta również zające i inne większe ssaki, oraz większe ptaki. W zasadzie dla rybołówstwa i łowiectwa szkodliwy, winien być jednak ochraniany jako jeden z zabytków przyrody, tembardziej, że obecnie ze względu na swą rzadkość wielkich szkód wyrządzać nie może.

(D. c. n.). *Janusz Domaniewski.*

Wyprawa myśliwska do Abisynji.

Parę ostatnich dni nie przyniosło nam żadnych nowych wrażeń. Z wyjątkiem niezliczonych stad pentarek, zwierzyny nie spotykaliśmy wcale. Coprawda, po jednym z noclegów nad rzeką, w miękkim przybrzeżnym mule, znalazłem duże, okrągłe ślady. Był to trop hipopotama. Pobieżne poszukiwania nie dały żadnego wyniku, że zaś dla jednej gruboskórej bestji nie opłaciłoby się w tem miejscu dłuższy czas pozostać, więc skończyło się to na niczem.

Dzisiejszy dzień dał nam nauczkę, że w afrykańskiej puszczy zawsze należy się mieć na baczności.

Około południa szliśmy kotliną gęsto porosłą krzewami z obu stron. Karawana rozluźniła swe pasmo i rozproszyła się na półmilowej chyba przestrzeni. Służący pana D., Wicek, marząc zapewne o rodzinnych stepach Ukrainy, wlókł się na samym jej końcu. Oczy mu się kleiły w rozmarzającym upale; słuch stępiał. Zresztą, czegóż się miał bać?

Minął właśnie szeroko rozrosły krzew olbrzymiego jałowcu; nagle gałęzie rozsunęły się cicho i na drogę wyskoczył murzyn, zupełnie nagi z dzidą w ręku. Podniósł ramię; zamachnął się. Wicek, jakby tknięty przeczuciem, odwrócił głowę i zbaraniał. Śmierć była tuż.

I trzeba trafu, że jeden z żołnierzy naszej eskorty, stracił przed paru minutami swą fajkę. Zgubę spostrzegł rychło, i pewien będąc, że leży niedaleko, ponieważ tylko co ją palił, puścił się pędem na poszukiwanie. Lecąc bezszelestnie bosemi stopami po miękkiej trawie, dopadł zakrętu, zatoczył łuk, wybiegł na otwartą przestrzeń — i zobaczył Wicka, murzyna, dzidę... Krzyknął i zerwał z ramienia karabin.

Czarny napastnik rzucił się wstecz i wsiąkł w krzaki. Gąszcz drgał lekko, znacząc kierunek ucieczki. Żołnierz dał dwa strzały dla postrachu. A potem spokojnie zaczął szukać swej fajki, którą też znalazł o parę kroków dalej. Gdy w chwilę później razem dopędzali karawanę, filozoficznie Wickowi tłumaczył:

„Umrzeć trzeba, wiadomo, ale taka śmierć niedobra... Dzida może zatruta... Zanadto boli!"

* * *

W południe obozowaliśmy nad strumieniem, który dostarczył nam dobrej wody. Potem ruszyliśmy w dalszą drogę. Porosła tylko trawą równina dawała nam duże pole widzenia. I oto u jej krańca ujrzeliśmy naraz ciemną, ruchomą plamę. Szły nad nią błyski, niby płomyki świec, i kurz słał się wkoło. Zatrzymaliśmy karawanę i na wszelki wypadek zgromadziliśmy ją w jedno. Przez lornetkę było już wyraźnie widać, że idą ku nam ludzie: paruset ludzi zapewne. A po chwili jeden z naszych żołnierzy, osłaniając dłońmi oczy, i wpatrując się uważnie rzekł:

„To nasze wojsko!"

„Abisyńczycy?"

„Tak!"

I jął się śmiać, szczerząc zęby, bijąc dłońmi po udach i pokrzykując z wielkiej radości.

Regularny oddział wojska oczywiście nam nie zagrażał, to też bez obawy ruszyliśmy dalej. A że oni także szli ku nam, więc spotkaliśmy się rychło.

Na czele abisyńczyków jechał konno wódz, jakeśmy się dowiedzieli później, jenerał. Był boso. Nad szeroką ciemną twarzą unosiła się gęsta czupryna, zwichrzona, i szara od pyłu. Strój jego stanowiła biała toga z purpurowym szlakiem. Turecka szabla, o rękojeści, sadzonej srebrem, wisiała mu u pasa. Siedział na drobnym berberyjskim koniku, odzianym we wspaniały rząd, pełen czerwonych chwastów, drobnych monet i złotego szychu.

Żołnierze również bosi i z gołemi głowami, udrapowani malowniczo w różnobarwne łachmany, szli bezładną masą; karabiny i dzidy mieli na ramieniu, lub pod pachą; niektórzy nawet wlekli broń po ziemi. Lecz, że były to chłopy rosłe i muskularne, a z oczu patrzyła im odwaga, sądzę, iż w bitwie muszą być straszni, wynagradzając brak ćwiczeń i dyscypliny, rozmachem, oraz pogardą śmierci.

Karawana i żołnierze nie przerywali marszu; przystanęliśmy jedynie my dwaj, to jest pan D. i ja, a z nami tłumacz oraz jenerał abisyński ze swym adjutantem. Po wzajemnej wymianie sporej dozy komplementów, abisyńczyk, bardzo grzecznie, spytał nas o papiery. Przejrzawszy podpisane przez Menelika zaświadczenie, przyłożył je do czoła i ust, i oddał nam papier z pełnym szacunku ukłonem. Potem pytał: czy dobrą mamy podróż, czyśmy zadowoleni z naszej eskorty, i czy się nam wiedzie na łowach?

Zagadnięty kolejno o powód zbrojnej wyprawy, wyjaśnił, że dąży w kierunku Ugadenu, by pomóc w tłumieniu powstania somalijskich plemion. O powstaniu tem, bardzo krwawem, słyszeliśmy już po drodze; zmieniło to nawet nieco kierunek naszej wyprawy.

Bronisław Gordzialkowski.

(D. c. n.).

Nie zabijajmy żadnego stworzenia w czasie lęgu i nieletności.

O stałe kryterja etyki myśliwskiej.

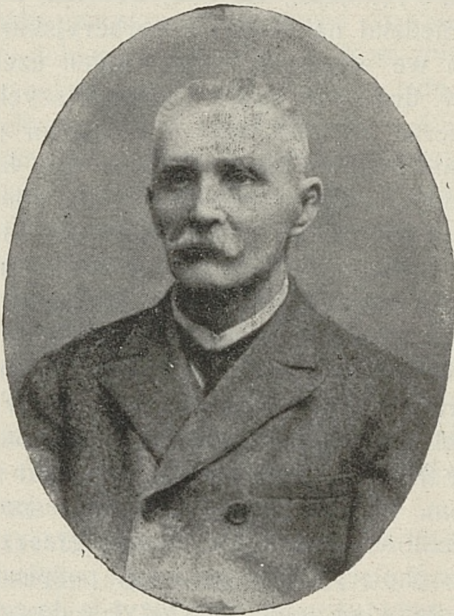
Dziwnemi mi się wydają kryterja etyki myśliwskiej, gdy czytam niektóre artykuły w fachowej prasie. Naprzykład: nie etycznem jest zabicie zająca, sarny, czy ptaka od dzieci, przy dzieciach, czy w czasie lęgu, albo zabicie bardzo młodych zwierząt i ptaków. Ale jeżeli chodzi o lisa, lub też wilka, to zaleca się rozkopywanie nor w czasie lęgu, polowanie na wabia, itd. i to ma nie być sprzeczne z etyką myśliwską! Albo są pewne zasady etyki myśliwskiej, albo ich niema. Nasuwa się mniemanie, że ta etyka jest bardzo względna i elastyczna.

Jeżeli zabicie zwierzyny w czasie lęgu, czy od dzieci, jest nieetyczne, to w równej mierze powinno się to odnosić do lisa, wilka, królika, czy jastrzębia. Co do jastrzębia, to możnaby wbrew etyce postąpić, jako, że wielkie szkody czyni, a bardzo trudno podejść go w innym czasie. Ale lis, wilk, królik, powinny mieć czas ochronny ustawowy, skoro nie wszyscy myśliwi uznają za nieetyczne polować na nie w czasie lęgu. Zwłaszcza lis u nas nie jest tak liczny, żeby go tępić w każdym czasie i marnować dobre futro.

Chyba wszyscy myśliwi przyznają słuszność zasadzie, wygłoszonej przez p. redaktora J. Ejsmonda: „Niema zwierzyny szkodliwej i słowo „tępić“ ma być wykreślone ze słownika myśliwskiego“. Ustawa i etyka winny więc zabronić zabijania wszystkich zwierząt i ptaków w czasie lęgu, oraz w czasie ich nieletności.

Adam Krakowiak.

Z żałobnej karty.



Ś. p. Ryszard Torchalski.

Ś. p. Ryszard Torchalski urodził się w Warszawie w r. 1852, z rodziców ś. p. Ludwiki z Łapińskich i Franciszka Torchalskiego. Ojciec zmarłego był ceniony i znany wśród kolegów, znajomych i klijentów, rusznikarz. Zakład otworzył w r. 1840 i odtąd pracował pilnie w swym zawodzie, oddając mu się z całem zamiłowaniem, a nie traktując go jedynie jako pracę zarobkową.

Kochając gorąco kraj ojczysty, służył mu całem sercem i mieniem i w czasie pamiętnych walk o niepodległość, w 1863 roku, zaopatrywał armje powstańcze w broń palną i amunicję. W tym czasie wynalazł maszynę do wyrobu kul. Gdy rozpoczęły się słynne procesy i prześladowania, ojciec ś. p. Ryszarda, oskarżony o pomoc, niesioną rodakom, został skazany prze władze rosyjskie na śmierć przez powieszenie. Przypadek, raczej własna jego praca, ocaliły mu życie, dowiedział się bowiem o jego wynalazkach ówczesny generał-gubernator i na skutek jego interwencji i generała Tuhołki, wyrok cofnięto. Po powstaniu praca rusznikarska zaczęła się znów rozwijać, więc młody ś. p. Ryszard stanął w rzędzie pracowników ojca i niebawem jako szesnastoletni chłopiec, wykonywuje pierwszą pojedynkę, systemu „Lankastra“, dla znanego myśliwego, p. Abramowicza, z Wilna. Odtąd pracuje coraz intensywniej wraz z ojcem, a następnie, po śmierci ojca, ś. p. Franciszka, przenosi zakład z ul. Długiej na Nowosenatorską, a w parę lat potem zakłada sklep z bronią wraz z pracownią przy ul. Trębackiej Nr. 7, gdzie się dotąd znajduje.

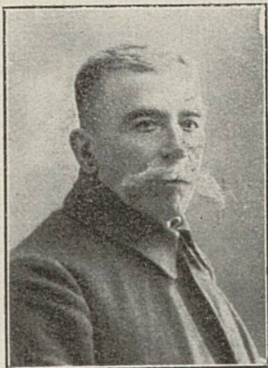
Będąc majstrem cechowym i prowadząc pracownię, kształci całe pokolenia rusznikarzy i wykierowuje ich na dzielnych i uczciwych pracowników, Sam będąc pracowitym i akuratnym, wymagał od nich tego samego, nic dziwnego, że jego uczniowie, dziś kierownicy w różnych fabrykach, czuli zawsze głęboką wdzięczność do swego kierownika, czemu dali wyraz, biorąc tłumnie udział w oddaniu mu ostatniej posługi. Nadzwyczaj towarzyski i dobrego serca. miał wielu przyjaciół, a będąc zamiłowanym i świetnym myśliwym w dniach wolnych od zajęć, wyjeżdżał z nimi na polowania, przywożąc do swej pracowni różne trofea myśliwskie.

Niestety, praca ustawiczna stargała jego siły, sparaliżowany od lat ośmiu, oderwać się musiał od

ulubionego zajęcia. Synom swym polecając kontynuować swoje dzieło, udzielał im rad i wskazówek. Pozostawił w smutku żonę i pięciu synów.

Cześć Jego pamięci!

Redakcja nasza składa Rodzinie Zmarłego słowa najgłębszego współczucia.



Ś. p. Stanisław Lasocki.

Z sercem ściśniętem szerym bólem kreślę to pośmiertne wspomnienie serdecznego druha.

Rzedną szeregi z krwi i kości dusz myśliwskich w najszlachetniejszem znaczeniu.

Odeszła w zaświaty w dniu 6 stycznia r. b. nieskazitelna dusza myśliwska, zmarł pod Grodnem w Żytomli Stanisław Dołęga Lasocki, druh mój serdeczny z najdawniejszych świetlistych dni młodości.

Ś. p. Lasocki urodził się w Skiblinie (gub. Kijowska) 17.XI 1857 r. Z wyjątkiem kilku ostatnich lat życia cały czas nie opuszczał Ukrainy, zrósł się z nią całą duszą, tak wspaniale przystosowaną do naszych pysznych stepów, jarów, oczeretów i szuwarów.

Poznaliśmy się za moich szkolnych czasów w Białejcerkwi w 1880 r. Już wówczas wolne od zajęć chwile poświęcał umiłowanemu polowaniu. Z czasem posiadł piękną hodowlę znakomitych irlandzkich seterów i słynne na okolicę charty.

Należał ś. p. St. Lasocki do tych wyjątkowych myśliwych, którzy w polowaniu nie szukają łatwych zdobyczy i rozkładów ani sukcesów; polował najczęściej i najchętniej sam lub we dwójkę, znał Przyrodę i jej tajniki, kochał tę naszą odrębną, napół dziką ukraińską przyrodę stepów, rozłogów, futorów i bezkresów.

Nieodłącznemi jego towarzyszami zawsze były koń i pies, których wielkim był znawcą i miłośnikiem; był też niezrównanym jeźdźcem i nie uznawał innej lokomocji, jak tylko konno (w siodle), a polowanie im większe trudności przedstawiało, tem milsze mu było.

Przewrót bolszewicki wyzuł ś. p. Stanisława z mienia. Na stare lata znalazł skromną posadę sekretarza w jednej z najuboższych gmin Grodzieńszczyzny, w Żytomli; tam go odwiedziłem 26 czerwca ub. roku, lecz jakże się zmienił: ledwie zdołałem po wielu latach dopatrzeć się w nim dawnego człowieka, pełnego humoru i dowcipu.

Śmierć ś. p. Lasockiego nastąpiła w warunkach tragicznych. Nieboszczyk ostatnie dni żywota gnębiony ciężką chorobą spędzał na wytężonej pracy w gminie w nieopalanej zimnej izbie. Los nie skąpił mu cierni i utrapień.

Niech, Ci, druhu miły, rycerzu kresowy, sokole ukraiński, ta ziemia, która Cię tak niegościnnie na ostatku dni Twoich przyjęła, po śmierci lekką będzie.

Cześć Twej pamięci!

Helenowo, w marcu.

Bohdan Grzymała Przecławski.

Rozmaitości.

DO BADAŃ NAUKOWYCH NAD SROKĄ.

Dla przeprowadzenia pewnych studjów nad sroką (Pica pica, dawniej Pica caudata) z całego obszaru Rzeczypospolitej Polskiej — zwracam się niniejszem do wszystkich PP. właścicieli majątków, administratorów, zarządców lasów, dzierżawców, i do wszystkich myśliwych z prośbą, by zechcieli mi dopomóc przesyłając pod niżej podanym adresem sroki.

Prosiłbym od 1 — 2 okazów z danej miejscowości—zabite nie później jak do 5-go maja r. b., a o ile możności jaknajwcześniej po przeczytaniu niniejszej odezwy. Do każdego okazu prosiłbym o dołączenie kartki z podaniem daty zabicia, miejscowości, (gmina, powiat, województwo) w jakim terenie zabita, (ogród, skraj lasu ,remiza polna i t. p.) i czy w danej miejscowości się gnieżdżą, jeżeli tak, to czy stale, czy od niedawna.

Sroka bowiem na ogół odlatuje bardzo niedaleko od miejsca, gdzie było gniazdo i skutkiem tego wytępiona w jakiejś miejscowości, często dopiero po wielu latach w niej się pojawia. Są znowu miejscowości, gdzie od niepamiętnych czasów nigdy sroki nie widziano, pomimo, że w sąsiednich miejscowościach ledwie o parę kilometrów odległych sroki się gnieżdżą i to dość licznie. Byłbym więc bardzo wdzięczny za wiadomość o takich miejscowościach.

Sroki zabite najlepiej przysyłać w zwykłych kartonowych pudełkach, obsypane trocinami, a w ich braku, poprostu naciętemi skrawkami papieru. Przesyłać proszę pod adresem: *Muzeum Imienia Dzieduszyckich Lwów — Rutowskiego 18.*

Z góry wszystkim ofiarodawcom serdecznie dziękuję za przysłane okazy i za okazaną pomoc i życzliwość.

Włodzimierz Dzieduszycki.

BROŃ i AMUNICJA.

W SPRAWIE GILZ (ŁUSEK) FIRMV „POCISK".

Pozwolę sobie i ja przesłać kilka słów w sprawie gilz firmy „Pocisk".

Otóż, niestety, stwierdzić muszę, że gilzy te pod względem materjału i wykonania ustępują zagranicznym, szczególniej belgijskim „Mullerite", „Clermonite", „Legja", — nie mówiąc już o angielskich Eley'ach. Rzecz prosta, obowiązkiem naszym jest popierać w pierwszym rzędzie wyroby polskie, w imię prostej prawdy jednakże, stwierdzić należy, że firma „Pocisk" nie doprowadziła jeszcze swoich wyrobów do perfekcji, równej powyżej przytoczonym, zagranicznym firmom. Przedewszystkiem, sam karton jest pod względem materjału, gorszy od materjału belgijskich, czy angielskich gilz; poza tem okucie jest krótsze i z lichszego materjału, a co najważniejsza, kapiszony są zwykłe, a nie Gevelota, co ma, jak wiadomo, pierwszorzędne znaczenie przy strzałach prochami małodymnemi. Te same poniekąd ujemne strony widzimy w gilzach żółtych Warsz. Spółki Myśliwskiej, z wyjątkiem kapiszona i lepszego kartonu. Mojem zdaniem, jakkolwiek z jednej strony należy usilnie starać się o popieranie budzącego się do życia rodzimego w tej branży przemysłu, z drugiej znów strony, nie można nie twierdzić, że egzystujący od dawien dawna przemysł amunicyjny Belgji, Anglji i Niemiec, stoi na wysokości zadania, i upłynie zapewne jeszcze sporo czasu, zanim nasze wyroby amunicyjne zdołają wyrugować z rynku wyżej wspomniane wyroby, które każdy myśliwy, bez względu na to, jak wielkim byłby patrjotą, będzie chętniej od krajowej amunicji nabywał, — jako naboje, dające wstrzale wprost znakomite rezultaty. Na standach również, czy Monte-Carlo, czy w Ostendzie, czy gdziekolwiekbądź indziej, za wyrobami Eley'a, Mullerite i Clermonite'a, zawsze ubiegać się standowi strzelcy będą, dla względów łatwo zrozumiałych.

Nadmienię tu jeszcze, że otrzymałem ostatnio od mego stałego dostawcy firmy „S. Nakulski" w Gnieźnie, w ostatnim transporcie, naboje firmy Eley'a, Eley-Ejektor-Cartridges, o bardzo długiem okuciu gilzy (50 mm.). Naboje te wykonane z wielką precyzją, dają w strzałach wprost świetne rezultaty.

Za najlepsze uważam dziś, jak zapewne i wszyscy myśliwi, naboje Eleya, oraz belgijskie Mullerite i Clermonite, które to naboje osiągnęły znany wszechświatowy rekord na standach w Monte-Carlo. Przedstawicielem tych naboi jest p. inż. Paul de Maen, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 26.

„A propos"—nadmienię, że wprowadzone obecnie na rynek nasz naboje kulowe floberowe firmy francuskiej „Cartoucherie Francaise", Paris, ze znakiem „F", nic nie są warte i dziwię się mocno, jak solidne firmy nasze mogą taką tandetę francuską sprowadzać. Naboje te dają strzał cichy, przy dużym dymie i obfitym osadzie w lufie karabinka. Kulka z bardzo problematycznej wartości ołowiu (nader miękka), słabo osadzona — często po strzale w lufie pozostaje. Masa wybuchowa nic nie warta. Penetracja słaba. Jednem słowem jest to wierutna francuska tandeta, której żadna szanująca się firma sprowadzać więcej nie powinna. Sądzę, że egzystują we Francji i Belgji napewno firmy, wyrabiające dobrą amunicję floberową, skąd też ją należy, wzamian niemieckich, doskonałych kul Uttendorfera (Norymberga) i Genschowa (Durlach), sprowadzać.

Pod tym względem nie jestem szowinistą i zawsze oddam sprawiedliwość komu należy, bez względu na rasową nienawiść.

Nie wątpię ani na chwilę, że przedstawiciele naszego rodzimego przemysłu wytężą wszystkie swoje siły i uczynią wszystko, co w ich mocy leży, aby stanąć na wysokości swego zadania i osiągnąć pod względem doskonałości wyrobów amunicyjnych jaknajrychlejsze rezultaty, t. j. by wyroby amunicyjne nasze mogły dorównać zagranicznym, czego im z serca życzyć należy.

Dalej, np. w dziale prochu, musimy przyznać, że nie mamy nawet czarnego prochu, mogącego dorównać Rottweilerowi, nie mówiąc już o bezdymnym Rottweilerze, Muellericie i Clermonicie, czy Schultze, które przynajmniej narazie są bezkonkurencyjne. *Stefan Ostrowski.*

Dąbrowa Górnicza.

W odpowiedzi na słuszną uwagę p. A. Krakowiaka, umieszczoną w „Przeglądzie" Nr. 8 z dnia 15 kwietnia r. b., niniejszem mam zaszczyt powiadomić wszystkich pp. myśliwych, którym popieranie przemysłu krajowego leży na sercu, że w najbliższym czasie zostaną ogłoszone wyniki prób, dokonywane z prochem bezdymnym, wyrabianym w Boryszewie (dawniejsza Sochaczewska fabryka sztucznego jedwabiu została przerobiona na fabrykę prochu).

A. Lipka.

Redaktor Naczelny: Juljan Ejsmond.
Dyrektor Zarządzający: Benon Perzyński.
Wydawca: Myśliwska Spółka Wydawnicza (Sp. z ogr. odp.).
Zarząd: Juljan Ejsmond, St. Krzywoszewski, B. Perzyński.

Komitet Redakcyjny: Wł. Czerniejewski, Janusz Domaniewski, Józef Gieysztor, Gen. Adolf Kuczewski, Wł. Janta-Połczyński, Adam hr. Rzewuski i Bolesław Świętorzecki.

Redakcja i Administracja: Nowy Świat 21 (księgarnia Perzyński, Niklewicz i S-ka) tel. 107-37.

Cena numeru niniejszego **zł. 1.30** Prenumerata kwartalna **płatna z góry** wraz z dodatkiem (Bibljoteka Myśliwska)= **7 zł.** miesięczna **zł. 2.50.** Konto czekowe w P. K. O. Nr. 7595. **Rękopisów Redakcja nie zwraca.**

Cena ogłoszeń: 1/1 str. **120 zł.** 1/2 str. **60 zł.**; 1/4 str. **37.50 zł.**; 1/8 str. **22.50 zł.**; 1/16 str. **12 zł.**
Pierwsza i ostatnia strona o 50% droższa.

Zakłady Drukarskie F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.